Nr. 3. Lwów, —— 1894 r. Wydawnictwa Rok XVII.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 8. i 23 każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p t. **Wesoły Kurjerek** wychodzące dwa razy na miesiąc, 1. i 15., oraz osobne powieściowe co miesiąc **Dodatki.** Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **dodatkami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki* W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnosza się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Józef Kotarbiński,

Kierownik artystyczny teatru krakowskiego.

Józef Kotarbiński.

(Do portretu).

Kilka miesięcy temu, gdy teatr krakowski przeszedł pod inną dyrekcję, umieściliśmy w piśmie naszem wizerunek nowego dyrektora, p. Tadeusza Pawlikowskiego — dziś zaznajamiamy bliżej czytelników naszych z kierownikiem artystycznym nowego teatru w Krakowie — którego, zresztą, nazwisko, jako artysty i literata powszechnie jest znane, bo Józef Kotarbiński zajął wybitne stanowisko na scenie i w dziennikarstwie warszawskiem.

Może nietyle w prasie, ile po za nią, dają się słyszeć głosy, że nowy teatr krakowski pod względem sił aktorskich wiele pozostawia do życzenia — ale rzadko kto zastanowi się bliżej nad tem, że teatr ten znajduje się w fazie organizacyjnej i, że, aby się ukonstytuował zupełnie i stanowił artystycznie sformowaną całość, potrzebuje, przynajmniej, dwóch lat czasu zwłaszcza, że w naszych stosunkach teatralnych, mimo dość licznej rzeszy aktorskiej, wybitnych talentów do zbytku nie mamy, a to, co się bierze z sił prowincjonalnych towarzystw, potrzebuje bardzo często nauczycielskiej i reżyserskiej siekiery i długiego machania nią, aby zrobić artystę — nie rzadko, zaledwie da się wyciosać... mebel na scenę...

Józef Kotarbiński, jak portret wskazuje, mężczyzna w sile wieku, za lat dawniejszych należał do grona tej warszawskiej młodzieży literackiej, którą nazywano „pozytywistami“. Była to dość zwarta falanga ludzi młodych, głęboko wykształconych, wierzących w to, co mówią i piszą, a opartych o poważne studja naukowe, które, albo już odbyli, albo z zapałem odbywali. Między innymi, do obozu tego należeli Świętochowski i Chmielowski, a ówczesny *Przegląd tygodniowy* pod redakcją Adama Wiślickiego do dziś istniejący pod temże samem kierownictwem, był do pewnego stopnia organem tej młodzieży literackiej, do której, jak wyżej powiedzieliśmy, należał Józef Kotarbiński już wówczas ukończywszy studja w warszawskiej szkole głównej i zwracający na siebie uwagę, jako estetyk, krytyk teatralny, a z zamiłowaniem uprawiający deklamację na estradach koncertowych.

Kotarbiński już, jako zażywający szerokiego rozgłosu literat, poświęcił się stale zawodowi aktorskiemu, do którego czuł pociąg od lat najmłodszych hamowany nieraz *par force*...

Jakkolwiek pod względem plastyki aktorskiej, krytyka zarzucała Kotarbińskiemu pewne niedostatki, zajął on, jednak, szybko bardzo poważne stanowisko na scenie, a prześliczna dykcja jego oparta o studja pod kierownictwem mistrza Królikowskiego — mogła służyć za wzór artyzmu i scenicznej estetyki.

Nie miejsce po temu, abyśmy szczegółowo rozbierali literacką działalność Kotarbińskiego — dość, tedy, będzie, gdy powiemy, że w okresie, jakich lat dwudziestu pięciu, a może i więcej, Kotarbiński brał bez przerwy czynny udział w ruchu literackim, że w pracach jego większych, mniejszych i doraźnych widniał zawsze talent wybitny, jasność i grunt naukowy i, że, jednem słowem, w ruchu literacko-dziennikarskim koncentrującym się w Warszawie, Józef Kotarbiński, zajął stanowisko wpływowe i bardzo wybitne.

Jako artysta dramatyczny, Kotarbińskiego specjalnością, jest trajedja i dramat, w ostatnich, jednak, czasach, zakres ról posunął do kreacyj o pewnych głębszych charakterystycznych cechach Repertuar Kotarbińskiego, jest niezmiernie obszerny. Za czasów prezesowstwa jenerała Palicyna, Kotarbiński przez dłuższy czas był artystycznym reżyserem w teatrach warszawskich i starał się wszelkiemi siłami, otoczony bardzo trudnemi okolicznościami, nadać repertuarowi kierunek poważny i prawdziwie artystyczny.

Teatr krakowski, w nowej epoce swojego bytu, posiadający reżysera w osobie Kotarbińskiego, może patrzeć z otuchą w przyszłość swoją zwłaszcza, że działalność głównego dyrektora, zlewa się w harmonijną całość z pracą, doświadczeniem, nauką, talentem i rutyną reżysera. Na owoce tej wspólnej pracy dyrekcji teatru należy poczekać nieco dłużej, bo, jak wyżej powiedzieliśmy, teatr krakowski znajduje się w fazie organizacyjnej.

Tyle o Kotarbińskim, jako o literacie i artyście i z powodu jego stanowiska literackiego i artystycznego — jako człowiek cieszy on się bezwarunkowym i powszechnym szacunkiem mimo aktorskich i literackich animozyj, na który ze względu na swoje przymioty osobiste, szlachetność charakteru, sympatyczną szczerość i wreszcie takt, najzupełniej zasługuje.

Od wydawnictwa.

Dodatek do Nr. 3. *Gońca i Iskry* rozesłaliśmy już osobno wszystkim prenumeratorom. Obecnie rozsełamy Nr. 3ci nadmieniając, że *drugi dodatek* do tegoż numeru jeszcze, rozesłany będzie i, że Nr. 4. *Gońca i Iskry* ozdobiony będzie illustracjami poświęconemi pamięci bieżącego ***Roku Kościuszkowskiego.*** Numer ten ze względu na rysunki, wymaga więcej czasu ***Wesoły Kurjerek*** Nr. 4. w swoim czasie rozesłany został.

Oprócz tego wszyscy prenumeratorowie otrzymają w kwietniu, lub na początku maja b. r. osobną premię, mianowicie rycinę przedstawiającą wizerunki *wszystkich wodzów polskich* aż do Tadeusza Kościuszki włącznie.

W jednym z najbliższych numerów, rozpoczniemy nową, jedną z zapowiedzianych powieści.

Od ręki.

= Czytamy w amerykańskim *Kurjerze Polskim*:

„My, dziennikarze polsko-amerykańscy, takeśmy się jakoś przyzwyczaili do przyklaskiwania wszystkim praktycznym i niepraktycznym projektom „patrjotycznym“ i do potępiania, jako niepatrjotów tych, którzy nam na niepraktyczność projektu czasami uwagę zwrócą, że gdyby dzisiaj naprzykład, który z szanownych kolegów chicagowskich podał projekt założenia „nowej Polski“ — na księżycu, wcale nie wątpię, że cała prasa polsko-amerykańska uznałaby projekt ten za wzniosły i patrjotyczny — mianowicie, gdyby projektodawca poparł swóje zapatrywanie argumentem, że tam — na księżycu — nie będzie, ani moskali, ani niemców“.

= Sprostowanie.

Z Tarnopola otrzymaliśmy od synowicy ś. p. doktora Madurowicza sprostowanie, które poniżej podajemy nadmieniając zarazem, że za *Dziennikiem Poznańskim* powtórzyliśmy szczegół, co do pochodzenia zmarłego znakomitego lekarza polskiego i, że pochodzenie z ziemi rusińskiej nie znaczy jeszcze, aby być rusinem:

Oto sprostowanie:

„Szanowna Redakcjo!

Pozwalam sobie sprostować mylnie podaną wiadomość, że stryj nasz ś. p. Maurycy Madurowicz był rusinem. Madurowicze byli zawsze i są polakami. W naszej całej rodzinie, nie ma, ani jednego rusina.

Z poważaniem

Helena Madurowiczówna“.

Bal dobroczynny.

SCENA I.

(Ciąg dalszy — patrz nr. 2.)

Panie żegnają się, prawiąc doktorowej masę komplementów na odchodnem. Pożegnanie urozmaicone jest jeszcze małym epizodem z Wikcią, która mimo opozycji niańki i bony, pragnie gwałtem zobaczyć „mamusinych gości“. Dziewczynka ma brudną sukienkę i buzię zamorusaną tłuszczem od klusków, o które walczyła tak zawzięcie ze starszą siostrzyczką. To nie przeszkadza wcale, żeby hrabina i baronowa nie znajdowały panienki prześliczną i nad wiek rozwiniętą. Prawdziwie cudowne dziecko! Istny portret matki! Ciężkomłocka zmieszana z początku wtargnięciem Wikci do salonu, znowu rozpromieniła się, w obec tych pochwał dla pieszczotki i przy licznych ukłonach i ściskaniach rąk, odprowadza uprzejmie damy aż do sieni, rozpływając się w duszy nad pięknymi przymiotami wykwintnej grzeczności, prostoty i tej łatwości towarzyskiej, jaką posiada prawdziwa arystokracja.

Hrabina. (schodząc ze schodów, mówi do baronowej po francusku): Jakaś głupia gąska. No, ale wzięła pięćdziesiąt biletów. Choćby odesłała połowę i tak nie straciłyśmy czasu. A to dziecko było czemś powalane na twarzy, co miało zapach tak nieprzyjemny. Mdli mnie trochę. Straciłam apetyt do obiadu. Cóż robić, trzeba się umieć poświęcić dla celu dobroczynnego! Jakże się nazywa, bo już zapomniałam?

Baronowa. Ciężkomłocka.

Hrabina. Dziwne nazwisko. Czyśmy się też nie pomyliły? Spojrzyj baronowo na listę, którą nam dał Szastalski.

Baronowa (przegląda listę wyjętą z woreczka z biletami). Jest wyraźnie z adnotacją przy nazwisku: „Nie była nigdy gospodynią balu; trzeba nalegać; może wziąć kilkanaście biletów“. Wmówiłyśmy jej pięćdziesiąt. Nie powiedzą, że nie umiemy pracować dla celów dobroczynnych.

Hrabina. Ale też wzięłam się do niej zręcznie. Spojrzyj na listę, baronowo, dokąd teraz pójdziemy?

Baronowa (zaglądając do listy). Do pani Miszemałajne.

Hrabina. Co, co? Nazwisko takie trywialne!

Baronowa. Żona bankiera. Mieli niedawno kantor wekslu i loterji. Teraz prowadzi interes bankierski i ma bardzo już znaczny majątek. Mały Joujou stara się o ich córkę. Mówią, że się już ochrzcili.

Lokaj w liberji. (sadzając damy do karety). Gdzie jaśnie pani każe jechać?

Hrabina. Do państwa Miszemałajne. (Podnosząc oczy w górę): To dla biednych!

Baronowa (z westchnieniem): Czegóż to się dla dobroczynności nie robi!

SCENA II.

Doktor — doktorowa.

Doktor powrócił do domu o czwartej. W pięć godzin obleciał pół miasta, przebiegł około dwustu pięter i obejrzał czterdzieści nosów czerwonych, fioletowych, sinych i niebieskich. Jest zziajany, zmęczony okropnie, a przytem zły, bo zarobił wszystkiego pięć rubli w gotowiźnie, a reszta pacjentów obiecała mu zapłacić po ukończonej kuracji. Zna on dobrze to honorarjum lekarskie po ukończonej kuracji, więc obiad mu nie smakował, zresztą, słusznie, bo pani, z powodu zajęcia z gośćmi, nie była wcale w kuchni, z czego korzystając, kucharka przyrządziła jedzenie bardzo niedbale, a śmietanę z zupy wraz z drugą porcją pieczeni dla Leonarda schowała. Doktorowa przyrządza sama mążowi kawę na maszynce, a korzystając z chwili lepszego humoru, przystępuje do zdania sprawy z nadzwyczajnych wypadków dziennych.

Doktorowa. Wiesz, miałam wizytę.

Doktor (deliktując się, rzeczywiście, bardzo smaczuą kawą). Czyją? pewno Rzępaczewskiej.

Doktorowa. Wcale nie. Myślisz, że ja tylko takie stosunki mieć mogę?

Doktor. Cóż ty rozumiesz przez takie stosunki? Rzępakowska jest bardzo przyjemną kobietą, żoną mojego kolegi uniwersyteckiego, adwokata On ma bardzo dobra praktykę obrończą, zarabia więcej i łatwiej odemnie. Nie ogląda tylu paskudnych nosów. Przeklęte nosy! Już mi kością w gardle stoją. I jeszcze, żeby choć płacili za to. Zwlekają aż do ukończenia kuracji!... Wiesz, że ten łapserdak Miszemałajne, nie kontentując się tom, że mu cały dom darmo leczę, kazał mi jeszcze dziś odwiedzić swojego szwagra i wdowę po ciotecznym bracie. I to wszystku w procencie od trzech tysięcy rubli, od których mu płacę po dwa od sta miesięcznie. To dopiero wampir nienasycony!

Doktorowa. To też dla ciebie głównie cieszę się z wizyty, jaką miałam przed obiadem. Była u mnie hrabina Nadymalska i baronowa Szurszurowska.

Doktor. Oh! czegóż one chciały od ciebie?

Doktorowa. Pragnęły się poznać ze mną. Słyszały tyle o tobie, o twojej praktyce, operacjach!... Boronowa mówiła, że robisz je tak zręcznie, iż z twojej ręki byłoby przyjemnie nawet nos stracić, a hrabina dodała, że nosy, które przyprawiasz, są daleko piękniejsze od naturalnych.

Doktor (trochę podłechtany). Przesadzają! Niezawodnie, że mam rękę lekką, i nosy, które wykrawam z czoła, jak mi się czasem operacja uda, są dosyć zręczne. Szwy, bo znać zawsze, szczególniej na mrozie.

Doktorowa. One utrzymywały, że nie znać tego wcale i, że teraz, kiedy ładny nos zobaczą, zaraz gotowe trzymać zakład, że to twoje dzieło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Za Oceanem.

U nas, w ogóle, wyrobiono sobie bardzo przesadne pojęcie o zamożności amerykanów. Na całem terytorjum Stanów Zjednoczonych jest 85.000 osób, mających dochodu rocznego więcej, niż dwadzieścia tysięcy franków. We Francji ta cyfra wydatków reprezentuje przyzwoitą stopę utrzymania, ale, jeżeli wziąść pod uwagę drożyznę rzeczy niezbędnych do życia z tamtej strony oceanu Atlantyckiego, łatwo pojąć, iż z wyjątkiem paru tuzinów osób, uprzywilejowanych, których fortuny razem złożone, utworzyły pewną sumę miliardów, i sześciu, lub siedmiu tysięcy prawdziwych milionerów, reszta kapitalistów Nowego-Świata nie budzi zazdrości, jak ich koledzy ze starej Europy i godną jest raczej pożałowania.

Mężczyźni w Ameryce mogą małe, codzienne przykrości życia wynagrodzić sobie rozrywkami, pod warunkiem wszakże, iż traktować je będą, jako profesję. Pożałowania godnem, natomiast, jest położenie pań domu. Muszą one, nietylko, uciekać się nieustannie do najdowcipniejszych fortelów, celem trzymania równowagi w chwiejącym się codziennym budżecie wydatków, ale nadto są skazane na dopomaganie własnemi rękami do utrzymania gospodarstwa domowogo w stanie pożądanym.

Amerykanka, posiadająca dwadzieścia tysięcy franków rocznego dochodu, w rzeczywistości nie ma służących. Nie można, bowiem, tem mianem nazwać biednych dziewczyn, pochodzących z najbardziej wydziedziczonych krajów Europy i przeniesionych do zupełnie obcej im cywilizacji. Nieszczęśliwa mieszkanka Erinu nie posiada najprostrzych wiadomości o gotowaniu, córy Norwegji z trudnością wielką uczą się po angielsku, włoszki z Kalabrji i Pulii z taką samą trudnością uczą się języka, z jaką przyswajają sobie najprostrze zasady czystości. Trzeba więc rozpoczynać naukę od początku, a służąca po ukończeniu edukacji, zaledwie nauczy się trochę swego fachu, zwykle spieszy porzucić swych państwa.

Służące i kucharki, urodzone w Ameryce sprawiają jeszcze więcej kłopotów paniom domów. Wymagają pensji 200 franków miesięcznie, tłuką moc szkła i porcelany i roboty gospodarskie uważają, jako pracę poniżającą. Biały fartuszek i czepeczek są w ich oczach emblematami wstrętnego służalstwa i godzą się do obowiązków z tem głębokiem przekonaniem, iż zajęcie ich pozostaje w niezgodzie z pojęciem równości, które powinno jednakowo obowiązywać wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych.

Po całej serji nieszczęśliwych eksperymentów, pani domu wyrzeka się zazwyczaj edukowania uczennic, niezdolnych do nauki, i nie chce znosić impertynencyj ze strony rodowitych amerykanek. Zniechęcona i doprowadzona do ostateczności, sprzedaje ruchomości i wynosi się do hotelu z mężem i dziećmi. W Stanach Zjednoczonych są tysiące rodzin, których dochody rocznie sięgają 20.000 fr. i które, pomimo to, nie utrzymują własnych mieszkań. Tan tryb życia przy wspólnym stole i w „chambres garnies“ wydałby się nieznośnym stadłom eóropejskim, ale w Ameryce jest to jedyny sposób zapewnienia pani domu trochę swobody i wypoczynku. Za jednym razem rozwiązuje się tym sposobem i kwestja służących, a w budżecie domowym można robić znaczne oszczędności w wydatkach nieprzewidzianych.

Pani Schirley Dare, Terry Cook, Marion Harland, Katarzyna Owen i wiele innych opisywały w „North American Review“ okropności tego życia koszarowego. Najlepsze zdrowie niszczy i zatruwa atmosfera, przepełniona miazmatami w tych karawanserajach, w których obozują setki osób, oraz jednostajne pożywienie, którego nikt nie może zmieniać, stosownie do swych życzeń i temperamentu. Dzieci zamknięte w pokojach hotelowych, smutnieją, jak ptaki w ciasnych klatkach, kobiety, zwolnione od wszystkich obowiązków, skazane są na nudy, które bywają zwykle złym doradcą. Życia hotelowego niepodobna pogodzić z życiem rodzinnem i niepodobieństwo to ujawnia się często z całą brutalnością.

Choroba, lub jakiś nieszczęśliwy wypadek sprowadzają nieobliczone trudności i zawikłania i gospodarstwo po niewczasie przekonywa się, że zawsze lepszym jest choćby najskromniejszy kąt własny od lokalu hotelowego, w którym nie można, ani spokojnie urodzić się, ani umrzeć.

Współpracowniczki „North American Review“ rozpoczęły zbiorową kampanję przeciwko złemu, które zaczęło robić z dniem każdym postępy. Projekt zakładania szkół dla służących przyjęto z tamtej strony oceanu z niekłamanym zapałem. Sztuka gotowania stoi, jak wiadomo, w Ameryce na bardzo niskim stopniu i obywatel Stanów Zjednoczonych nie ma pojęcia, ile smaku może przysporzyć potrawie dobry kucharz.

Powstał tedy zamiar założenia instytutu kulinarnego, w którym mają wykładać profesorowie europejscy i wykłady swe uzupełniać doświadczeniami, robionemi na miejscu. Czy umiejętność, dotychczas miana w pogardzie w ojczyźnie Waszyngtona, potrafi wpłynąć dobroczynnie na mieszkanki Norwegji i Irlandji umiejące zaledwie gotować kartofle, tego, naturalnie, przesądzać nie można, lecz wkrótce dyplom na pargaminie stanie się niezbędnym dokumentem dla służącej w Ameryce. Zresztą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ostatnie lata bieżącego wieku będą świadkami w Ameryce tryumfu kuchni wspólnych.

W Cambridge w stanie Massachssets stowarzyszenie studentów rozwiązało szczęśliwie kwestją taniego pozywienia. Z tym praktycznym instynktem, z którym amerykanie rodzą się na świat. Ci młodzi ludzie urządzili zakład, w którym posilają się po niesłychanie umiarkowanych cenach. Za dwadzieścia franków pięćdziesiąt centymów tygodniowo, członkowie Foxcroff-Club otrzymują pożywienie zdrowe i dobrze przyrządzone. W Memorjal-Hall jedzenie jest cokolwiek wykwintniejsze i cena z tego powodu cokolwiek wyższa, waha się od 17 do 20 franków tygodniowo. Studenci sami zarządzają restauracjami, których stanowią zarazem klientelę. Sami układają się z dostawcami prowizyj, godzą służbę, począwszy od kucharza, a kończąc na pomywaczce i czynią to wszystko z tą pewnością siebie, która przyniosłaby zaszczyt zawołanej gospodyni. Otóż, pani Katarzyna Selden, autorka artykułu, umieszczonego we wzmiankowanym już czasopiśmie, żąda dla skłopotanych gospodyń domów instytucji, która tak wielkie usługi oddaje studentom w Cambridge. Na pierwszz rzut oka myśl rzucona przez autorkę nie ma w sobie nic niewykonalnego, gdyż dwieście, lub trzysta rodzin, założywszy stowarzyszenie na wzór Foxcroff-Club, lub Memorial Hall w Cambridge mogą zaprowadzić znaczne oszczędności w wydatkach. Nie ulega, jednak, wątpliwości, iż ludzie dojrzali i matki rodzin w wieku podeszłym, będą czuć wstręt do tego życia, prowadzonego na sposób studencki, ale o to zdaje się najmniej troszczyć współpracowniczka „North American Review.“ Stowarzyszenia, wedle statutów przez nie nakreślonych, będą utrzymać zakłady, rozsełające obiady do domów. Chcąc otrzymać zdrowy i tani posiłek, członek stowarzyszenia potrzebuje tylko użyć telefonu.

Inna współpracowniczka tegoż pisma, pani Loté Wells, niedawno wyraziła zdanie, iż gospodynie domu w wieku XX ym, jeżeli zechcą uniknąć należenia do stowarzyszeń, dostarczających jedzenia, będą musiały dokonać rewolucji w systemie budowy kamienic. Jedynym środkiem na utrzymanie służby, oraz mniej godzącej się z pojęciami równości obywateli Stanów Zjednoczonych, jest budowanie kuchni od frontu, by widok na ulicę i przechodniów dostarczał rozrywki kucharce. Kuchnia powinna być urządzona z wielkim komfortem, a mis Loté Wells daje do zrozumienia, iż w XX. wieku znajdzie się już w niej i... fortepian.

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego

(Ciąg dalszy — patrz dodatek do Nr. 3.)

Pobożnego obrzędu dopełnił pleban.

W chwili ceremonji uroczysta cisza zaległa dokoła; niektórzy byli wzruszeni, a wszyscy dziwnie zadowoleni. Początkowe litery imienia i nazwiska hrabianki Dory Giovanni, jako patronki zakładu, lśniły złotem na froncie; cztery obszerne sale na dole i dwie na piętrze, stały już zupełnie urządzone, zaopatrzone w łóżka, pościel, stoły, krzesła, słowem, we wszystkie potrzebne sprzęty. Nie brakło i dwóch dozorczyń.

Nastąpiła niedługa, ale pełna budzącej treści mowa, którą wygłosił pleban, a którą lud wysłuchał pobożnie z odsłoniętemi głowami, poczem zwolna rozchodzić się wszyscy zaczęli w tem głębokiem i wysoce pochlebnem przekonaniu, iż od dnia dzisiejszego Pastro, wyposażone w tak piękny szpital — najpierwsze w okolicy zajęło stanowisko.

Mieszkańcy zamku przez kilka jeszcze chwil postali i porozmawiali z doktorem, poczem Dora i dwaj Giovanni'owle napowrót wsiedli do landa i odjechali do domu, a markiz del Sagora został jeszcze obok przyjaciela i zajęty rozmową, szedł z nim do jego maleńkiego dworku.

Co prawda, Sagora tylko sam jeden mówił z wrodzoną sobie żywością i wesołością, towarzysz zaś jego milczał uporczywie, zdradzając niezwykłe jakieś zamyślenie i smutek, że nakoniec zwróciło to uwagę Sagory.

— Cóż u licha! — zawołał. — Zamiast się radować świetnem uwieńczeniem zabiegów, jesteś zły, ponury i Bóg wie co jeszcze.

— Pierwszym pacjentem tego szpitala może ja sam będę — odparł z przymuszonym uśmiechem Marko. — Od pewnego czasu czuję się jakoś niezdrowym.

Sagora, baczniej na przyjaciela spojrzawszy, teraz dopiero spostrzegł, iż jest on bardzo blady i mizerny.

— Co ci jest? — spytał zaniepokojony.

— Właściwie nic określonego... Teraz tylko, ukończywszy to pierwsze moje dzieło, ogarnia mnie zmęczenie i wyczerpanie sił, jakiego dawniej nigdy nie doznawałem.

— Odpocznij, wyjedź ztąd, chociaż na kilka tygodni... Ty się na śmierć zamordujesz szaleńcze. Nic, tylko ciągła praca — najmniejszej rozrywki. Dzisiejszy wieczór spędzić musisz ze mną, na zamku.

Marko drgnął mimowoli.

— Nie, za nic!... — odparł krótko, stanowczo, z nerwowym ruchem ręki. — Zmęczony jestem, poprostu i wypocząć muszę.

Pietro zauważył rozdrażnienenie i niezwykłe zdenerwowanie swego przyjaciela, nie zmuszał go, jednak, do żadnych wyjaśnień, nie chcąc mu robić przykrości. Wkrótce uścisnął go serdecznie i piechotą powrócił na zamek.

— Musiała go u moich krewnych jakaś nieprzyjemność spotkać.., — myślał sobie w duchu. — Trzeba Dorę wybadać.

Dora, jednak, przy obiedzie nie była obecna i wieczorem swego pokoju opuścić nie chciała, dawszy znać przez służącą, iż cierpi na silny ból głowy i, że zaraz na spoczynek się uda.

I tak pierwszy dzień pobytu swego w Pastro wesoły markiz w gronie swoich krewnych przepędził bardzo nudnie. Do Lamberta nie miał nigdy wielkiej sympatji, a zresztą dziś młody oficer był również w usposobieniu wcale niewesołem. Wszyscy byli, jakby powarzeni; Pietro zbyt krótko tu jeszcze bawił, aby mógł odgadnąć dlaczego.

Zastanowiło go tylko, że ilekroć zaczął coś mówić o pomyślnem ukończeniu szpitala, albo o zasługach i przymiotach i zasługach doktora Germany, natychmiast wszyscy milkli znacząco, albo obojętnie o czem innem zaczynali mówić. Jeden tylko młody hrabia raczył kilka słów przemówić o Marko, ale z tak zgryźliwym przekąsem, że Sagora aż podrażnionym się uczuł i w wysokim stopniu zdziwionym, w jego, bowiem, przekonaniu mało ludzi istniało tak sympatycznych i na przyjaźń zasługujących, jak ten ukochany Marko. Co Lambert mógł sobie do niego upatrzyć?

IX.

Nazajutrz poranek był chłodny, pochmurny, wietrzny; dżdżyste obłoki zaczepiały się swym ciężarem o szczyty gór, porosłe borami; markiz smutny i znudzony, nic lepszego do roboty nie mając, wyszedł sobie sam jeden na przechadzkę do parku; później, wróciwszy do domu, miał on zamiar kazać założyć gniadą czwórkę do wolantu i pojechać w dolinę na wieś, do Marka. Trapił go niepokój o zdrowie przyjaciela.

W tem z poza klombów ujrzał wysuwającą się postać Dory; dziewczę podbiegło ku niemu przyjaźnie.

— Ahc, Doro! jakże mi ciebie brak było wczorajszego wieczora! — zawołał markiz, rozjaśniając czoło. — Powiadam ci, nudziliśmy się wszyscy bardzo, lecz nikomu pewno tak przykrem to nie było, jak mnie, bo oprócz tego miałem i mam jeszcze niemałą troskę.

— I jakąż to? — spytała Dora, zwolna obok niego krocząc.

— Germana był wczoraj niezdrów; tak bladym, zmizerowanym i do wszystkiego zniechęconym, nie widziałem go jeszcze nigdy — doprawdy, obawiam się. czy nie jest on w przededniu jakiej ciężkiej, poważnej choroby.

— Germana chory?... — zawołała Dora głosem zmienionym z przestrchu, a twarzyczkę jej pokrył ciemny rumieniec, który znikł niebawem i ustąpił miejsca wielkiej bladości. — Jakże mu jest dzisiaj?... Czy dowiadywałeś się już o jego zdrowie?...

— Właśnie kazałem zaprządz — pojadę do niego za chwilę.

— I ja z tobą jadę!

— Jakto?... do Germany? — pytał zdumiony markiz, z zakłopotaniem patrząc na kuzynkę. Szczególniejszego tego żądania nie pochwalał, lecz nie śmiał urazić Dory stanowczą odmową.

— No tak, naturalnie do niego. Czyż nie mówisz, że chory? A jak ja chorowałam, to on dniem i nocą był przy mnie!

— Kochana Doro, on co innego. Leczył ciebie, jest doktorem...

— To wszystko jedno. Ja mu za to jestem winna nieskończoną wdzięczność. Więcej on dla mnie uczynił, niż zwykli czynić lekarze... Widzieć go muszę!

— Ależ pomyśl...

— Biegnę po kapelusz i płaszczyk. Mamie, albo stryjowi powiem, że jadę z tobą na spacer.

— A Lambert?...

Dora przystanęła i zmierzyła kuzyna śmiałym, wyzywającym wzrokiem. Dumnym ruchem odrzuciła głowę, a w oczach jej migotały blaski sarkazmu i głębokiej niechęci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr — koncerta — widowiska.

Sfinks, jest pierwszym utworem symbolistycznym, jaki się pojawił, w ogóle, na scenie polskiej. Napisał go p. Tetmajer, dziennikarz i poeta, znany więcej w Krakowie, jak u nas. *Sfinksa* przedstawiono we Lwowie w tych dniach — czasu niewielu zajął — może pół godziny — posiada, bowiem, tylko akt jeden.

Pana Tetmajera, jako poetę, młodego, z temperamentem krewkim i z niezaprzeczonym talentem, cenimy prawdziwie — ale będąc zasadniczymi przeciwnikami symbolicznego kierunku w literaturze, który uważamy za objaw chorobliwy zaprzeczamy *Sfinksowi* wręcz jakiejkolwiek racji pokazywania się na scenie.

Znaki w naturze i przeczucia, istniały od stworzenia świata i to może być motywem w pewnej sytuacji ludzkiej — ale, żeby na wyciu psa, albo wyciu wiatru budować ludzkie dramata — to trzeba cierpieć na haluncynacje, trzeba nie mieć zdrowia duchowego i fizycznego, trzeba mieć chory umysł, a te wszystkie rzeczy, mogą być pouczającym materjałem dla psychiatry, ale nigdy dla sceny.

Proszę sobie wyobrazić bohatera *Sfinksa*: jest to młody człowiek głuchoniemy i ślepy — posiada tylko węch, który mu ma służyć za wszystko. Zwąchał, tedy, drugiego młodego człowieka koło swojej siostry, którą przez dotykanie pokochał, a nikt mu nie mógł wytłomaczyć, że siostry nie mogą być kochankami braci — więc zwąchawszy drugiego — po cichu łazi po pokoju, wącha, maca, bierze wazon i, choć nic nie słyszy, rozbija nim łeb kochanka siostry. A ta siostra znowu przeczuła te straszne rzeczy i inne jeszcze, bo słyszała to wszystko w grzmotach, w piorunach, w pożarze, w śpiewie ptaków i t. p.

Prawda — od dawna lud utrzymuje, że gdy pies wyje, to ktoś umrze, a jak wiatr wieje, to się ktoś powiesił — no, ale ludzi na świecie, co minuta, masę umiera i, żeby tak przy każdej śmierci, albo możebnym wypadku, musiały bić pioruny, grzmieć, psy wyć i wiatry świstać — to byłoby dopiero ładnie na świecie!...

Sfinksa przyjęła lwowska publiczność ze wzruszeniem... ramion. O grze artystów, absolutnie nie ma nic do napisania — zaledwie wymienić należy, że grali w nim panie Stachowicz i Cichocka, oraz panowie: Chmieliński, Hierowski i Żelazowski.

Gioconda trzy razy w tym sezonie dawana, nie może być policzona do najlepszych przedstawień... Przedewszystkiem panna Strassern nie opanowała partji Laury — wielka i piękna arja w drugim akcie: „kocham go, jak i t. d.“ przeszła bez najmniejszego wrażenia, a stanowi ona kulminacyjny punkt w operze. Panna Colonesa także *Giocondy* nie może zaliczyć do swoich dobrych, ą nawet właściwych partyj — ale panna Colonesa śpiewa wszystko, więc, oczywiście, wszystkiego dobrze śpiewać nie można. Pan Górski wcale dobrze śpiewał Barnabę, ale się jeszcze w tę partję, mówiąc trochę trywialnie, głosem nie wżarł.

Bez zarzutu w tej operze jest p. Myszuga, więc porywał.

Partję basową księcia, czy tam hrabiego, odśpiewał p. Zegarkowski doskonale. Piękny to głos — należy go używać, bo doprawdy, szkoda takiego materjału, a na basy dla opery... ciężkie czasy..

Jeżeli mamy prawdę mówić, to nie znajdujemy słusznych powodów, aby wznawiać takie stare sztuki z dawnego repertoaru francuskiego, jak n. p. Dumas'a *Przyjaciel kobiet*. Przy wszystkich zaletach literackich, tego rodzaju prace, są już za stare. Sardou należy do trwalszej generacji, a już nie wszystko, co napisał, grać można. *Przyjaciel kobiet*, jest komedją konwersacyjną, w której dowcip Dumas'a błyska jaskrawo — ale tego rodzaju figury, jak ów "przyjaciel", gospodarujący w sztuce, niedający nikomu nic robić, kierujący lejcami sytuacyj i wsuwający to jednę, to drugą szufladkę, wedle tego, jak potrzeba, mimo całego dowcipu, humoru, języka i wszystkich właściwości dumasowskiego talentu — staje się podobny do maszynki grającej...

Poszczególną grę artystów i artystek pozwolimy sobie pominąć tym razem, zbywszy ją chyba tym jednym ogólnikiem, że z małym wyjątkiem, grali dobrze, mianowicie panie: Żelazowska, Siennicka, Siemaszkowa i Cichocka, oraz pp: Żelazowski, Siemaszko, Hierowski, i Wostrowski.

Dawno zapowiadana pantomina pomysłu francuskiego i z muzyką francuską: *Syn marnotrawny*, ukazała się, nareszcie, na scenie lwowskiej i z rzędu powtórzoną została kilka razy. Sądzimy, że oprócz zanotowania samego faktu wystawienia tej pantominy u nas, którą zresztą i za granicą wystawiali — a dziś już nie wystawiają, w bliższy rozbiór zbyt banalnej i oklepanej treści, której wymachiwanie rękami i nogami ekspresji dramatycznej chyba nie doda — wdawać się nie mamy potrzeby. Muzyka towarzysząca całej tej mimice, przeważnie pod patronatem fortepjanu, dość przyjemnie się słucha, ale nie jest, ani oryginalną, ani pod względem motywów kompozytorskich, pomy słową.

Co do gry artystów mimicznej — tyle tylko powiedzieć możemy, że w pocie czoła pracowali, a było ich coś sześciu, panie: Gostyńska, Siemaszkowa i Czaplińska, oraz panowie: Ruszkowski, Gasiński i Pasternak, jako murzyn najwięcej oklaskiwany... To charakterystyczne *signum*...

Ciekawe rzeczy.

Kolej podziemna w Glazgowie. Koleje podziemne mają, jak wiadomo, tę wielką wadę, że dym lokomotyw zanieczyszcza powietrze i z tego powodu podróż niemi nie należy do przyjemniejszych. Obecnie w Glazgowie buduje się kolej podziemna, prowadzona przez dwa tunele. Pociągi się składać będą z jednego, lub dwóch wagonów, wprowadzanych przez ruch za pomocą lin, które poruszać się będą nieustannie pod koleją z szybkością 2 kilometrów na godzinę. Wagon opatrzony jest przyrządem, chwytającym linę w chwili, gdy ruszyć ma z miejsca. Pociąg za pociągiem będzie szedł w bardzo bliskiej odległości. Opłata w klasie pierwszej wynosić ma dwa pensy, w drugiej pensa. Kilometr kolei kosztować będzie zł. 900.000, a cała kolej ukonczona zostanie w r. 1895. Długość kolei wyniesie 10 kilometrów.

Apetyt pająka. Pewnego razu zła[illegible] pająka, zważył go dokładnie,, zamknął [illegible]ce i uważał na jego apetyt. Znalazł on, że [illegible] śniadanie spożywa „strawy“ cztery razy tyle, ile on sam waży, na obiat 9, a na kolację 13 razy tyle. Gdyby apetytz człowieka ważącego 160 funtów był równie wielki, musiałby na śniadani całego wołu, na obiad także wołu i 6 baranów, a wieczorem 2 woły, 8 owiec i 4 świnie.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Zdzisław. Będzie w przyszłym w numerze. Prosimy pamiętać o nas.

Du. La. Nie będzie drukowane.

Obywatelka. Wprost do tamtejszej dyrekcji.

Gorliwy prenumerator w Chicago. Do księgarni która prospekt dołączyła.

Lit. w Krakowie. „Zagłoba“ wychodzi we Lwowie.

Autorowie wierszy: „Sejm“, „Do...“, „Krwawe dzieje“, „Miłe złego początki“ i „Wziął go na kawał“ — utwory panów nie będą drukowane, ani w *Gońcu i Iskrze*, ani w *Wesołym Kurjerku.*

Pan W. Junczewski oficer armji amergkańskiej w Tort-Assiniboine. Stosownie do listu, wysłaliśmy— odpowiednie premia wyślemy, gdy odbierzemy prenumeratę.

Pan J. M. Bauer w Chicago. Wysłaliśmy. Premia dają się stosownie do opłaconej prenumeraty.

DODATEK

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.
Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17

Dodatek do Nr. 3. „Gońca i Iskry“

Od Ekspedycji.

Niniejszy **Dodatek** do Nr. 3. *Gońca i Iskry* rozseła się razem z Nr. 4. *Wesołego Kurjerka*, a to dlatego, aby prędzej ukończoną została powieść: Zwalczona duma i abyśmy prędzej mogli rozpocząć nową. — Zaś Nr. 3 *Gońca i Iskry*, główny, ekspedjowany będzie osobno.

Teatr — koncerta — widowiska.

Carmen, dana w bieżącym sezonie trzy razy, zgromadziła liczną publiczność. Słuchano jej też z zajęciem i oklaskiwano gorąco znane z pięknej melodji numera.

Carmeną była panna Colonesa, a jakkolwiek czysty sopran nie zupełnie odpowiadał naturze i charakterowi partji — jednak, śpiewaczka ta wyszła pod względem muzykalnym obronną ręką i przepyszną grą aktorską zakryła braki głosu. Wybornym José był p. Myszuga. Z brawurą i pięknym barytonem odśpiewał p. Górski sympatyczną partję torreadora. Dobrze i poprawnie śpiewała Micaelę pani Skalska. Całość opery wyszła korzystnie i robiła bardzo dobre wrażenie.

Wznowienie starej i znanej sztuki ludowej, czarodziejskiej: *Twardowski na Krzemionkach*, na popoludniowe świąteczne przedstawienia, przyjęła lwowska publiczność z niezwykłymi oznakami zadowolenia. W sztuce tej odznaczyli się grą pełną humoru i werwy: pp, Feldman, Gasiński, Walewski, Wysocki, Dębicki, Kiczman i Barski, oraz panie: Praun, Fertner i inne.

W tych dniach dawano na lwowskiej scenie po raz pierwszy trzyaktową krotochwilę p. Przybylskiego p. t. *Letnicy*.

Jesteśmy przekonani, że utalentowany autor do tej swojej ostatniej pracy nie przywiązuje chyba żadnego znaczenia, bo, rzeczywiście, utwór to luźny, bezbrzeżnie banalny pod względem treści i mimo silenia się na ruch i życie za pomocą scen zbiorowych, jest monotonną wiązanką niezmiernie zużytych i nudnych sytuacyj, a tak powszednich, że aż żal wysilać talentu na podobne awantury. Nie wiele też pomogły piejące koguty i szczekające psy za sceną, równie, jak kapusta, poziomki, grzyby, a nawet, szampan z nadobną „półświatówką“ Walerką...

Dobra i żywa gra aktorska nie uratowała sztuki — wielu, bowiem, artystów i artystek, literalnie nie mieli nic do grania, jak n. p. pani Kwiecińska i pani Cichocka. Nieco wyraźniej nakreślone przez autora postacie kobiece w grze pań: Gostyńskiej, Czaplińskiej, Pankiewiczówny i Germanowej, wyszły wypukło. Mniejsze role grały dobrze panie: Otrembowa, Chmielińska, Rybicka i Fertner. Oprócz jedynej postaci trochę silniejszej pod względem charakterystyki, którą wybornie grał p. Ruszkowski — inne męskie role były tak blade, że nawet taki talent, jak p. Kwiecińskiego, nic zrobić nie mógł. Bardzo starannie, grał jeszcze niewdzięczną rolę młodego żonkosia p. Kliszewski, a p. Feldman tylko przepyszną charakteryzacją przypominając do złudzenia jednego z kupców lwowskich, wywoływał wesołość — sama zaś postać, jako taka, rzucona przez autora bezmyślnie — dla artysty nie przedstawiała zgoła żadnego materjału.

Niestarzejące się nigdy *Śluby panieńskie*, dawane w tym czasie na lwowskiej scenie i dobrze zrobiono, choćby dlatego, że publiczność zobaczyła znowu Gucia w tej grze, p. Kwiecińskiego, która równej nie ma. Gucio, tak, jak go gra p. Kwieciński, jest arcydziełem artystycznem. Po raz pierwszy widzieliśmy p. Żelazowskiego, jako Albina — świetnym był i postać tę p. Żelazowski zaliczyć może do najlepszych swoich kreacyj, w odmiennym naturalnie kierunku, od ponurego i dramatycznego repertuaru. Anielę grała pani Kwiecińska ślicznie, Klarę, jak mogła najlepiej, p. Czaplińska, ale rola ta nie leży w naturze talentu tej artystki. Przepysznym wujaszkiem był pan Fiszer — poprawnie grała matronę p. Gostyńska, a wybornym służącym był p. Dębicki.

Więc mieliśmy kawałek baletu na lwowskiej scenie i to odłamek ze sławnego warszawskiego baletu. P. Ostrowska i p. Kulesza, pierwszorzędni baletnicy warszawscy tańczyli przed rozpoczęciem i po ukończeniu *Letników*. Szczęśliwy p. Przybylski, że go nogi warszawskich choreografiatów wzięły w protekcję — inaczej krucho by było z trzeciem przedstawieniem tych *Letników*... P. Ostrowska i p. Kulesza są wybornymi tancerzami i sławę warszawskiego baletu godnie reprezentują.

Od ręki.

= Kronika żałobna.

† **Ludwik Rzepecki**

W Poznaniu zmarł ś. p. Ludwik Rzepecki, redaktor i właściciel *Gońca Wielkopolskiego*. Należał on do najzdolniejszych dziennikarzy, a obdarzony był świetnym talentem literackim. Jako krytyk i estetyk, w rzeczach teatru i muzyki należał do najwytrawniejszych znawców, jakkolwiek czasem zabarwiał swoje poglądy osobistą animozją.

Zmarły urodził się w r. 1832 w Wypalankach w pow. obornickim. Pierwsze nauki pobierał w Rogoźnie, a następnie kształcił się w gimnazjum ad St. Mariam Magdalenam w Poznaniu, gdzie uzyskał świadectwo dojrzałości. Złożywszy egzamin abiturjencki, przeniósł się na uniwersytet wrocławski, a ukończywszy studja swoje, posłany został do gimnazjum Marji Magdaleny, gdzie zawód pedagogiczny rozpoczął. Wkrótce, jednak, powołano go do Bergerowskiej szkoły realnej, gdzie aż do r. 1879 wykładał matematykę, historję naturalną i język polski. Zająwszy to stanowisko, rzucił się młody profesor w wir życia politycznego i wkrótce ruchliwością swoją i niezaprzeczonym talentem literackim, zwrócił na siebie uwagę publiczności i przełożonych.

Polityczna i dziennikarska działalność ś. p. Ludwika Rzepeckiego nie podobała się, jednak, władzom ówczesnym, a gdy ś. p. Ludwik nie ulakł się żadnych napomnień i pogróżek, wytoczono mu w roku 1878 proces dyscyplinarny i udzielono dymisję... Opuściwszy stanowisko profesora, poświęcił się ś. p. Ludwik Rzepecki całą duszą publicystyce i kilka pism nowych do życia powołał. Za jego inicjatywą powstała „Warta“, „Oświata“, „Niedziela“ i „Goniec Wielkopolski“, a wszystkie te czasopisma odznaczały się gorącym patrjotyzmem. Oprócz ściśle publicystycznej działalności, zajmował się zmarły redaktor towarzystwem przemysłowem, jako członek dyrekcji, założył wydawnictwo ks. Barzyńskiego i pracował sumiennie w komitetach. Było w ś. p. Ludwiku Rzepeckim wiele zapału i dobrej woli, a chociaż w walce z politycznymi przeciwnikami nieraz do osobistych posuwał się inwektyw, to, jednak, rozwijał mianowicie w „Gońcu Wielkopolskim“ tyle patrjotycznej brawury, że wpływ jego zawsze dodatnim nazwać należy. Umiał on artykułami swojemi podniecać i energję budzić, a nie tracił nigdy ducha i nadziei w jakieś lepsze jutro.

Ta niezłomna wiara ś. p. Ludwika Rzepeckiego w odrodzenie Polski, ta ufność w Nemezis historyczną, która dla nas godzinę sprawiedliwości wydzwoni, wywierały na szerokie warstwy ludu wpływ magnetyczny i jednała „Gońcowi Wielkopolskiemu“ wielu zwolenników. A przytem obdarzony był ś. p. Ludwik Rzepecki wybitnym talentem publicystycznym, który przejawiał się mianowicie w artykułach polemicznych, zaprawnionych nieco gorzkim, ale prawdziwym humorem.

Ubył tedy, społeczeństwu polskiemu dzielny i utalentowany prawdziwie, a kierujący się zawsze głębokim patrjotyzmem, publicysta, który był wiernym do ostatniej chwili zasadom politycznym ś. p. posła Niegolewskiego. Mimo różnych sytuacyj, zawodów i rozczarowań, pozostał wierny swoim przekonaniom odznaczając się, przytem, zdumiewającą wytrwałością i religijnością.

Cześć pamięci zacnego patrjoty i dzielnego literata polskiego!

† **Antoni Józef Rolle**

Jeden z najzdolniejszych i najpracowitszych lekarzy polskich, zmarł w tym czasie w Kamieńcu Podolskim, w wieku lat 63. Wyborny lingwista, znawca dziejów, badacz źródłowych materjałów, których niemało od zatraty uchronił, zajął ś. p. Rollę poważne stanowisko w historji, jako autor sumienny i ścisły. Znajomość nauk lekarskich i nauk przyrodniczych w ogóle, nie mało się przyczyniła do tego, iż zmarły wyrobił sobie doskonałą metodę badania i nigdy pohopnie wniosków nie wypowiadał, trzymając się ściśle tego, co było pewne i co wytrzymało wszechstronną krytykę. Fachowe pióra zajmą się niewątpliwie oceną działalności Rollego, jako badacza dziejów, piszącego pod pseudonimem „Dr. Antoni J.“ W słowniku Kośmińskiego znajdujemy oprócz prac lekarskich, wyliczone całe szeregi prac historycznych, tak, że działalność Rollego na polu literatury lekarskiej, względnie biorąc, o wiele jest szczuplejsza, niż historycznej. To, co ogłosił z medycyny, a ogłosił prac kilkadziesiąt, przedstawia, jednak, niepospolitą wartość. Ze szczególnem zamiłowaniem uprawiał zmarły topografię lekarską i epidemiologję, będąc jednym z najczynniejszych członków towarzystwa lekarzy podolskich. Nie mało też zajmował się sprawami szpitalnemi i w licznych swych korespondencjach podnosił z całą energją konieczność reform w wielu kierunkach i wskazywał środki zaradcze. Specjalność zmarłego z dziedziny nauk lekarskich

stanowiła psychjatrja, którą z wielkiem podczas swej dwukrotnej bytności za granicą uprawiał z zamiłowaniem; a jego obszerne studjum, mające na celu przedstawienie metody badania osób umysłowo cierpiących, ze względu na ich rodowe pochodzenie i doprowadzenie badań w tym kierunku do możebnie szerokiego zakresu (czytane na zjeździe w 1888 r. we Lwowie), może służyć za wyborny wzór, jak badania podobne prowadzić należy. Przez śmierć Rollego, dzielnego badacza, historyka i myślącego lekarza, cały świat naukowy polski poniósł jeden z najdotkliwszych ciosów. Rolle był dla naszego społeczeństwa więcej niż obywatelem, był osobistością, która zstępując do grobu, zabiera z sobą cząstkę naszego bytu. Cześć świętej i nieodżałowanej pamięci doktora Antoniego Józefa Rollego!

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego

(Ciąg dalszy — patrz numer 2.)

— Kobiety zaś powołaniem jest milcząca uległość, nieprawdaż, to chciałeś powiedzieć panie doktorze? — zapytała z ironją Dora,

Germana nic nie odpowiedział na to, wlepił tylko w dziewczynę spojrzenie tak dziwnie smutne, poważne, nawpół tkliwe i nawpół nieufne, że przed tym wzrokiem Dora mimowoli oczy przysłoniła rzęsami.

— Zdaje mi się — rzekł naraz Germana zmieniając zupełnie ton mowy — że wielki już czas, abyśmy ztąd odeszli. Słońce zachodzi, a wśród tych wilgotnych ścian powietrze raptem chłodnieje, pani się zaziębi.

Dora odpowiedziała na to niecierpliwym ruchem ręki, nie odstąpiła jednakże od okna.

— Pan się boisz, abym ci znów kłopotu chorobą nie narobiła — zauważyła, siląc się na uśmiech.

— Na taki zarzut trudno odpowiedzieć.

— Nie odejdę ztąd jednak, dopóki mi pan nie odpowiesz na poprzednie moje pytanie — mówiła Dora, daremnie starając się pokryć silne rozdrażnienie — jaką rolę wyznaczasz pan dla kobiety, która czuje się nieszczęśliwą w otaczającym ją świecie i nienawidzi losu, do jakiego, wbrew własnym chęciom, widzi się stworzoną? Walkę, czy uległość?

— Daruje pani... Nie wyznaczam nic dla nikogo — odparł Marko, zachowując zupełny spokój ducha. — Każdy sam tylko o sobie sądzić może, do czego jest powołanym. Powiadają, że kobieta zawsze szczęście znaleść może, uszczęśliwiając innych... Może to i prawda.

— Może to i prawda... — powtórzyła Dora głosem stłumionym i, jakby zawiedzionym. Nagle podniosła główkę dumnym ruchem, opanowawszy wzruszenie.

— Chodźmy już! — zawołała — istotnie chłodno się tu robi.

I wyszła nie oglądając się na towarzysza.

Na podwórzu wskoczyła zręcznym ruchem do faetonu i schwyciła lejce.

— Okna i drzwi od dzisiejszego dnia będą zamknięte, hrabianko — rzekł Marko, stojąc z kapeluszem w ręku obok pojazdu — aż do dnia nadejścia łóżek, oraz innych sprzętów.

— Dajesz mi pan do poznania, abym tu już więcej nie przyjeżdżała!

— Nie chciałbym, aby się pani trudziła daremnie. Zresztą, klucze będą zawsze u starej Kataryny, gdyby więc...

— Dziękuję — przerwała Dora. — Przybędę tu dopiero w dzień poświęcenia. Tymczasem zaś okna i brama mogą być zamknięte.

To rzekłszy, odjechała. Marko długo stał w miejscu, zapatrzony w stronę, w którą odjechała.

— Stać się musiało... — szepnął z głębokiem westchnieniem, a twarz jego zdradzała wielki ból, zniechęcenie i gorycz. A przecież cios ten nie przeszedł niespodzianie. Od dawna wiedział i powtarzał sobie nie tylko, że tak się stać musi, ale że on sam, własną ręką powinien zburzyć ten gmach złudzeń, i jej i jemu bałamucący ducha.

Ze spuszczoną głową, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, powlókł się powoli do swego ubogiego domku; na progu oczekiwała na niego Elia, a gdy przybył, spiesznie pobiegła zapalić w pracowni lampę.

Przy świetle lampy dopiero, uważnie spojrzawszy na jego twarz, o mało nie krzyknęła z przestrachu. Był blady, zmieniony do niepoznania, usta miał wykrzywione wyrazem szalonego bólu. Elia go nigdy jeszcze nie widziała tak nieruchomo ponuro, martwo zapatrzonego w migocący płomień świecy.

Zapytać się, co mu jest, nie śmiała, ale kobieca jej przenikliwość, podniecona niepokojem kochającego serca, odrazu odgadła przyczynę jego cierpienia. Wiedziała ona dobrze, zkąd jej pan o tej porze zwykł był powracać i kogo tam widywał...

Dora tymczasem, przybywszy do zamku, powitaną została przez swego stryja, tudzież młodego hrabiego Lamberta Giovanni, który podczas jej nieobecności nareszcie raczył przyjechać. Młodego lwa rzymskich i florenckich salonów powitała nadzwyczaj ozięble; widok tego człowieka dziś właśnie, w takiej chwili, wpłynął na biedaczkę w wysokim stopniu rozstrajająco. Zamieniwszy z nim zaledwie kilka zdań potocznych, odeszła do swego pokoju na piętro.

— Hm, hm! Powitanie niezbyt ujmujące! — skrzywił się, urażony w swej miłości własnej Lambert, który w malowniczym mundurze, wysoki i kształtny, rzeczywiście pięknym był chłopcem. Pewny swej urody i wykwitnych manier, rozpieszczony, psuty przez damy wielkiego świata, poprostu zgorszonym się czuł obojętnością swej kuzynki, a zarazem narzeczonej *in spe.*

Stary hrabia Giovanni, zakochany w swoim jedynaku, starał się złagodzić mu tę przykrość solennem zapewnieniem, że Dora z natury jest dosyć kapryśna, każdemu nieraz bez powodu stroić umie grymasy, że przeto przyjęcia tego nie należy brać odrazu za poważny objaw jej względem niego usposobienia, a wreszcie, będąc przyzwyczajoną do hołdów, nie uważa za potrzebne sama o uzyskanie czyich względów się starać.

— No, to złe przyzwyczajenie. Od tego przyzwyczajenia ja ją odzwyczaję — oświadczył Lambert, w najgorszy wpadając humor.

Ani nazajutrz, ani żadnego z następnych dni, Dora nie wydalała się wcale z zamku, co cała rodzina uważała za najlepszą oznakę na korzyść Lamberta. On tylko, jednak, wiedział najlepiej, co ma o tem sądzić, przestając, bowiem, jaknajczęściej z kuzynką, odgadywał w niej nietylko obojętność, ale wprost wyraźną niechęć dla siebie.

Lambert nie był obdarzony zbytnią przenikliwością, ani sprytem szczególniej — szym, mimo to, powoli, stopniowo zaczął wpadać na trop istotnej przyczyny tej odporności, w jakiej względem niego Dora ciągle trwała. Byłaż to obojętność? Nie, temu stanowczo nie wierzył, aby którakolwiek z kobiet, bez żadnego głębszego powodu, obojętną dla niego pozostawać mogła. Doświadczenie jednak, jakie wyniósł z kilkuletniego życia w wielkim świecie, pouczało go, iż kobieta może być znieczuloną na zaloty najwytrawniejszego nawet don Juana, jeżeli już jest zakochaną w innym.

Wywnioskował, zatem, ze wszystkiego, że Dora w kimś zakochaną być musi, a wszystkie dalsze spostrzeżenia w tym kierunku coraz bardziej utwierdzały go w tem przekonaniu. Oczywiście, wzruszał na to ramionami. W jakikolwiek sposób pozbyć się, usunąć rywala uważał dla siebie za rzecz nader łatwą, zachodził tylko w głowę, kto to może być? Ojciec, stryjenka, nie umieli, albo może też nie chcieli dać żadnych wyjaśnień.

Z tem wszystkiem Dora, jako nie tak łatwy owoc do zdobycia, jak sobie to Lambert z początku wyobrażał — niezmiernie w oczach jego zyskała; postanowił za jakąbądź cenę upór »tej młodej« przeprzeć i serce jej wraz z ręką bodaj szturmem zdobyć.

Dnie tymczasem mijały i sprowadziły do Pastro deszcze i chłodne zawieje. Łożka i wszystkie sprzęty sprowadzono już do szpitala, urządzenie jego nic już nie pozostawiało do życzenia, a Dora przez cały ten czas nie zajrzała do protegowanego przez siebie zakładu,

Nakoniec, doktor pewnego popołudnia złożył swe uszanowanie na zamku z zawiadomieniem, na który dzień oznaczono poświęcenie szpitala, tudzież w celu zaproszenia hrabiowskiej rodziny do uczestniczenia w tej uroczystości.

Przyjęty grzecznie, lecz nadzwyczaj chłodno, po pierwszych powitaniach zaproszony został do Dory, siedzącej w towarzystwie Lamberta w salonie

— Doktor Germana, który mi życie ocalił... — rzekła Dora, przedstawiając go swemu kuzynowi, a ciemny rumieniec i drżenie głosu wyraźnie zdradziły, jak gwałtownie miotało nią wzruszenie. Młody Giovanni nigdy jeszcze nie widział kuzynki tak mocno zmieszanej; badawczem okiem zmierzył doktora i przez ciąg całej wizyty zaszczycał go szczególniejszą uwagą. Gdy po krótkiej chwili starszy hrabia wszedł do salonu, Germana wyraził cel swego przybycia i otrzymał obietnicę, aczkolwiek niezupełnie chętną, że hrabia z synem i synowicą stawią się na oznaczoną porę; co zaś do hrabiny — to ta o tej porze roku domu nie opuszczała.

Hrabia Lambert wdał się w rozmowę z doktorem, niewiele jednak, znaleźli stycznych punktów, które mogłyby wzajemnie ich zająć. Marko był za poważnym i za rozumnym dla płytkiego Lamberta; to też młody oficer, czując jego moralną przewagę nad sobą, ogromnie był niezadowolony i zirytowany, a doktor, pożegnał się niebawem, z towarzystwem. Lambert wybuchł sarkastyczno-złośliwym śmiechem.

— Zdecydowana małpa... — zawołał, zapominając w swem uniesieniu o obecności dam.

Dora, obrzuciwszy go spojrzeniem, pełnem nietajonej wzgardy, powstała z miejsca i milcząc, opuściła salon.

— A to co za demonstracja?! — zawołał, w gorszy jeszcze gniew wpadając Lambert. — Zdaje mi się, że Dora popatrzała na mnie z pewnem lekceważeniem...

Hrabia Giovanni wzruszył ramionami.

— Widzisz, przykro jej się zrobiło, że kpisz i wyszydzasz doktora, którego ona bardzo wysoko ceni przez wdzięczność za wyleczenie z groźnej choroby.

— Oh, ceni, ceni! Wszak musieliście mu za to dobrze zapłacić?

Hrabia Giovanni opowiedział synowi, jaki użytek zrobił doktor z hojnego honorarjum, jakie mu posłano.

— Proszę! Ależ to zarozumialec, nadęty pyszałek, a co gorsza — demagog niebezpieczny!. — wołał Lambert, popadając w zaciekłość, którą podsycało budzące się w jego mózgu nieokreślone jakieś podejrzenie. że doktor jest, właśnie, owym kimś, którego w otoczeniu Dory daremnie dotychczas poszukiwał.

— Zbyt krańcowo go potępiasz, mój synu. Germana jest niepospolitym człowiekiem. Nie każdy, zwłaszcza sam będąc ubogim, tak, jak on podobnie, zdobyłby się na oddanie całej takiej sumy na rzecz dobra, a nadto, swój projekt wykonał, wbrew zdaniu wszystkich, tak prędko i tak bez zarzutu. Ja początkowo; jak mi o tem mówił, myślałem, że to blaga, obrana na zaimponowanie nam, a kupienie sobie tych tłumow; tymczasem pokazuje się, że on wie co mówi i, że słowami jego — i czyny idą w parze. Pomimo, iż nie mogę powiedzieć, abym go lubił osobiście, przyznać jednak muszę, że człowiek ten budzi we mnie mimowolny szacunek.

— Postaram się bliższą z nim zawrzeć znajomość... — mruknął Lambert z przekąsem i zaraz nazajutrz pojechał w dolinę do wsi pod pozorem zwiedzenia szpitala.

W nowym, mile w oko wpadającym budynku nie zastał doktora Germany. W dużym przedsionku Elia z jedną ze sprowadzonych już dozorczyń zajęte były rachowaniem i segregowaniem przed chwilą właśnie nadeszłej bielizny szpitalnej.

Młody hrabia stanął na progu mocno zdumiony uderzającą pięknością Eli. Schudła ona teraz cokolwiek i była biała, przezroczystą, alabastrową białością blondynek, albo suchotnic: oczy ogromne, błyszczące i podejrzane wypieki na policzkach, zdobiły ją niewypowiedzianie. Z pod małego białego, z pewną fantazją włożonego czepeczka, w ślicznym nieładzie wyglądały jasne loki.

Ujrzawszy Lamberta, stojącego we drzwiach, Elia podeszła ku niemu.

— Z panem doktorem chciałeś się zapewne widzieć signore?

— Szpital zwiedzić pragnąłem — odparł oczu nie mogąc od niej oderwać. Elia stała przed nim, natarczywością jego oczu nie zmieszana wcale; od czasu codziennych wizyt markiza Sagory przywykła już do tego rodzaju niemych zachwytów.

— Mogę pana oprowadzić, jeżeli pan sobie tego życzysz... — rzekła uprzejmie i za zgodą Lamberta poszła naprzód, pokazując mu wszystkie sale i pokoje, oraz udzielając stosownych objaśnień. Lambert był zdziwiony; przyznać musiał, iż nie spodziewał się, aby w Pastro istniał tak doskonale urządzony zakład.

— Jakto? i to wszystko sam doktor obmyślił. pod jego nadzorem wszystko to zrobione?

— Tak jest panie, i to z pomocą środków bardzo skromnych, prawie żadnych — odparła Elia, wpadając w ożywienie. — Jest to prawdziwy anioł opiekuńczy, zbawca tutejszej ludności. Niech go Madonna błogosławi i od wszelkiego nieszczęścia uchowa.

Na te słowa zbliżyła się do rozmawiających dozorczyni, kobieta już w średnich latach. I ona dołączyła swój głos do pochwał.

— W całej wsi i okolicy nie ma, ani jednej istoty, którąby doktora nie błogosławiła. Prawdziwy to przyjaciel ubogiego ludu i opiekun maluczkich!

Oblicze hrabiego Lamberta w coraz większą przyoblekało się powagę.

— A ty coś za jedna, piękne dziewczę? — zapytał, z niekłamanem upodobaniem wpatrując się w twarz Eli.

— Na imię mi Elia. Jestem służącą doktora; nie panem jest on, jednak, dla mnie nie panem, lecz opiekunem, ojcem, bożyszczem, które uwielbiam i, któremu wszystko w życiu zawdzięczam!...

I znów opanowało ją nadmierne wzruszenie; rumieńce stały się kraśniejsze, oczy rzucały dokoła fosforyczne blaski.

Hrabia Lambert powrócił na zamek w stokroć jeszcze kwaśniejszym humorze, aniżeli poprzednio; bliższej swej znajomości z doktorem już nie zapowiadał, jakoś wcale, ale niechęć, jaką ku niemu uczuwał, bynajmniej nie osłabła, przeciwnie, stała się głębszą i mniej lekceważącą. Że wypływało to z rozbudzonego uczucia zazdrości — do tego oczywiście nawet przed samym sobą nie przyznawał się młody panek; jakto, on hrabia Giovani, miałby zazdrościć czego takiemu oto marnemu doktorzynie wiejskiemu?...

Nazajutrz, z samego rana, pojechał na zamek markiz Sagora, włócząc się ciągle po całym świecie i raczej wszędzie będąc obecnym niżeli w domu, skorzystał chętnie z zaproszenia. wysłanego przez Germanę, do wzięcia udziału w ceremonji poświęcenia nowego szpitala. Z przyjemnością zawitał do Pastro, ażeby być obecnym tryumfowi swego przyjaciela.

Około godziny dziesiątej zrana zajechało przed szpital obszerne, piękne lando i wysiedli z niego markiz Sagora, Dora, tudzież obaj Giovanni'owie

Miejscowość, przybrana świątecznie, tchnęła pełną prostoty powagą. Brama, drzwi i okna nowego budynku przystrojone były wieńcami i nawet słońce, jak gdyby wiedziało o co tu chodzi, wychyliło się na tę chwilę z po za słotnych chmur jesiennych i ozłociło cały krajobraz potokiem wesołych promieni.

Ulice sąsiednie, cały placyk, oraz podwórza sąsiednich domków przepełnione było tłumem ciekawych widzów, których znaczna część, nawet z dalszych stron, przybywała na dzisiejsze święto.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ziółka karpackie

Znakomite te ziółka są bardzo skuteczne w zadawnionym kaszlu, chrypce, zaflegmieniu, cierpierpieniach piersiowych, bolu gardła itp.

Cena pudełka 20 ct.

Prawdziwe w aptece

E. Stenzla w Kołomyi.

Cenne są ziółka karpackie pańskiego wyrobu. Po użyciu dwóch pudełek, mogę powiedzieć, że jestem zdrów zupełnie: dlatego też moim znajomym takowe polecam.

Z poważaniem *Hartmann.*

Do nabycia we Lwowie na składzie w droguerji Górnego i Pilarskiego; w Stanisławowie w aptece dr. Beila 603′ 3—1

Poleca się P. T. Publiczności magazyn i pracownię krawiecką p.

Edwarda A. Baurowicza

w Lwowie, przy ul. **3 Maja l. 2**, gdzie wszelkie zamówienia na ubrania męzkie wykonują się najpunktualniej i po umiarkowanych cenach. 6040 4-1

Restauracja

pod „Tramwajem"

urządzona z komfortem, posiadająca dwa bilardy nowszej konstrukcji, oraz dobrą kuchnię, wszelkie napoje z pierwszorzędnych źródeł, poleca się P. T. Publiczności. 6042 3—1

Z szacunkiem

Leon Tuch, restaurator.

Pierwszy

sklep korzenny i restauracja

na Zasaniu w Przemyślu

Stanisława Pochmarskiego

przy ul. 3. Maja,

poleca 6048 4—1

towary kolonialne, piwo: flaszkowe okocimskie i pilzneńskie, przekąski ciepłe i zimne.

Towar dobry, miara i waga rzetelna, usługa skrzętna, ceny przystępne.

Zygmunt Fluss

Wiedeń-Berno-Praga-Tryest-Lwów.

Krzyż honorowy i dyplom honorowy, Bruksela, St. Gilles 1893 pierwsze nagrody, wielkie złote medale, Paryż, Bruksela, St. Gilles, Aussig a/E., Ołomuniec.

Skład fabryczny

dla sztucznego farbowania i chemicznego prania.

Lwów, ul. Sykstuska 30.

Filie we wszystkich większych miastach Monarchji

MOTTO: Utrzymać, znaczy oszczędzać.

Zakład sztucznego farbowania, appretury i chemicznego czyszczenia wszelkiego rodzaju garderoby męskiej, damskiej i dziecinnej w stanie całym lub rozprutym, jakoteż mundurów, meblowych materyj, dywanów, firanek, prawdziwych koronek i t. d.

Szybkie wykonanie oryginalnych czarnych toalet żałobnych.

Wykonanie nieprzewyższone parowemi maszynami, przy świetle elektrycznem, po niskich cenach.

Obstalunki po cenach fabrycznych przez wszystkie filie w przeciągu 10 dni franko. 6044 12—1

Mam zaszczyt donieść Szanownej P. T. Publiczności, iż otworzyłem pracownię ślusarską, w której wykonuję wszelkie roboty w zakres ślusarstwa wchodzące, podejmując się również większych prac fabrycznych z poręczeniem najstaranniejszego wykonania i możliwie po najumiarkowańszych cenach. — Z poważaniem:

Władysław Wierciniak,

5964 4—1 ślusarz w Białej.

OGŁOSZENIE.

Mam zaszczyt oznajmić P. T. Publiczności i wielebnemu Duchowieństwu, że z dniem 1. lutego b. r. został otworzony przy ul. Trybunalskiej we Lwowie (obok handlu Wgo Lewickiego) nowy

HOTEL pod nazwą **„WANDA"**

składający się z 24 elegancko umeblowanych pokoi w cenie od 60 ct do 2 zł. za dobę wraz z pościelą.

Nadmieniam zarazem, że w tym hotelu urządza właściciel domu p. **Jakób Löwenheck:**

Restaurację z pokojami do śniadań,

zaś dla kółek zamkniętych, salon gościnny na I, piętrze.

Polecając się łaskawym względom Szan. P. T, Publiczności, zostaję z wysokim szacunkiem:

6039 10—1 *Teodor Strzelczuk.*

Nowo otworzony pod firmą:

Wincenty Kuczabiński

we Lwowie ulica Karola Ludwika liczba 3,

(gmach Towarzystwa kredyt. ziemsk.)

skład przedmiotów treści religijnej i artystycznych

poleca: 6038 12—1

Książki do nabożeństwa dla różnych stanów, w rozmaitych oprawach od najtańszych do bogato ozdobionach, nakłady własne.

Obrazy świętych sztychy, fotografje, fotograwury, malowidła na atłasie, na szkle, porcelanie, w ramach różnej wielkości i po różnych cenach, tudzież bez ram.

Obrazki świętych wykonane sztychem, kolorowane i inne po różnych cenach.

Medaliki, koronki, krzyżyki i t. d.

Witrażyki ozdobnie wykonane z bronzu i innych metali (bardzo stosowne na podarunki).

Ramy, ramki i paspartu do obrazów.

Albumy na fotografje, teki do adresów i dyplomów, pugilaresy i t. d.

Księgi handlowe, aptekarskie i kopiały w wielkim wyborze (wyrób własny).

Wystawa tych przedmiotów, bogato wyposażona urządzoną została w westybulu gmachu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ul. Karola Ludwika l. 3.

Ceny bardzo umiarkowane. Cenniki gratis i franko.

Premiowany **wielkimi złotymi i srebrnymi medalami**

(na wszystkich wystawach, w których firma brała udział).

A. Witting, Innsbruck (Tyrol).

Specjalny handel tyrolskich materyj (Loden)

6002 6—3. **Pierwsze zupełnie nieprzemakalne**

tyrolskie płaszcze z materji tyrolskich (loden)



Haweloki

Płaszcze cesarskie

(Kaisermäntel)

Kurtki z loden

Płaszcze damskie na deszcz

(Regenmäntel)

Dalej sprzedaje na metry

nieprzemakalne

materje tyrolskie (loden)

z prawdziwej czystej wełny.

Materje na ubrania

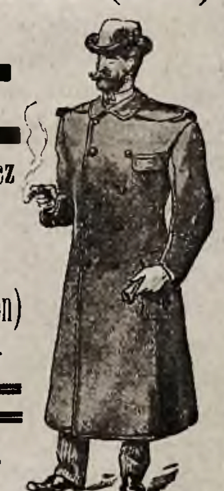
dla strzelców i turystów

Materje z sierści wielbłądziej.

Tyrolskie Damenloden

Spodnie ze skóry dla jeźdźców,

ze skóry sarniej, gemzowej i jeleniej.



Nieprzemakalny **Loden-Hawelok** od złr. 10, albo 17 marek — wyżej.

Nieprzemakalny **Loden-Kaisermäntel** z kapuzą do odpinania od złr. 12, albo 21 marek — wyżej.

Cenniki i próbki materyj franco.

H. Mendelsohn

Dom spedycyjny i komisowy. (5944-3-3)

Spedycje międzynarodowe, przedsiębiorstwo przesyłek zbiorowych, pospiesznych i zwyczajnych.

Spedycja mebli w zamkniętym wyściełanym wozie, bez opakowania i przeładowania do transportu koleją.

Lwów. Oderberg. Kraków. Oświęcim. Szczakowa.

3% Losy austryjackiego Zakładu kredytowego ziemskiego

sześć (6) ciągnień rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.

4% Losy węgierskiego Banku hipotecznego

trzy (3) ciągnienia rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.,

jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien

dom bankowy i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezzwłocznie niedoliczając prowizji, a na żądanie zaliczkę (5485-st.)

Wyrobu

Kazimiery Matczyńskiej

Pasztet

w puszkach glinianych po 1·50 pół kilo; w blaszanych lutowanych, po różnych cenach.

5865-st.-13

Buljon

z ptactwa i drobiu	1 klg.	10 zł.
Nr. 00 z truflami	1 klg.	zł. 7·50
Nr. 1. przedni	1 klg.	zł. 6·50
Nr. 2. doskonały	1 klg.	zł. 5·50

Ekstrakt mięsny

po 70 ct, słoik

sprzedaje

Żarząd dworu Łapszyn

poczta **Brzeżany.**

Parowy warsztat mechaniczny i ryflarnia walców młyńskich

LUDWIK KELLER

w Stanisławowie

(obok dworca kolejowego).

Zastępstwo

Fabryki maszyn i odlewni żelaza

G. Josephy'ego Sukces. w Bielsku.

Maszyny i narzędzia rolnicze

firmy

Ph. Mayfarth i Sp. w Wiedniu

Adres dla telegramów:

„Elkeller — Stanisławów".

Dostarcza w najlepszem wykonaniu

kompletne urządzenia

(5798-26-13). dla

gorzelń, browarów, młynów, tartaków, cegielń, (piece kręgowe) fabryk krochmalu, rafineryj spirytusu i nafty, fabryk drożdży, hut szkła i t. d.

tudzież

pojedyncze maszyny lub części składowe tychże.

Odlewy maszynowe

wszelkiego rodzaju, jako to:

Koła pasowe, tryby zwykłe i stożkowate, łożyska stojące, leżące, i ścienne, oraz ruszta zwykłe i schodowe.

Transmisje,

pompy, ekshaustory, maszyny rolnicze

narzędzia wiertnicze,

maszyny parowe, motory systemu Hoffmeistra, kotły parowe, rezerwoary.

Reparacje maszyn

uskuteczniam spiesznie i tanio.

Koła pasowe i części transmissyjne w pięknem a lekkiem wykonaniu utrzymuję zawsze na składzie.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.